

Witajcie w naszej bajce... Utopia czy pomysł na szkołę?

Wstęp

Pamiętam, jakby to było wczoraj, gdy – jeszcze jako uczennica – czytałam *Akademii Pana Kleksa* i rozmyślałam, że byłoby cudownie trafić na ulicę Czekoladową do nauczyciela, który zamiast ocen – rozdaje kolorowe piegi, uczy kleksografii i pozwala na przedzenie liter – podczas gdy ja, wówczas dziesięciolatka, drzę, by – broń Boże – nie dostać gorszej oceny niż piątka (to wstyd dla prymuski!), nie mam prawa zrobić kleksa, a za koślawą literę w wypracowaniu dostaję przy ocenie komentarz: Pismo!!! Bardzo lubiłam moją szkołę, nauczycieli i kolegów, jednak przepaść, która dzieliła moje wyobrażenie o szkole marzeń – a rzeczywistością – była ogromna.

Dzisiaj stoję przed czwartoklasistami jako nauczyciel, nadal czytam tę samą lekturę (sic! – obowiązkową na liście lektur) i zadaję im i sobie pytanie: jakiej szkoły chcemy? Dzieci mają na nią mnóstwo pomysłów, nie wszystkie możliwe do wcielenia w życie, bo prawo nie pozwoli na 15-minutowe lekcje, a 45-minutowe przerwy, ani na 10 miesięcy wakacji... Sporo jednak z tego, co kielkuje w uczniowskich głowach, jest inspirujące – i paradoksalnie – kielkowało też w mojej głowie, gdy byłam dzieckiem. Może, idąc za radami autora *Małego Księcia*, warto posłuchać tych cichych dziecięcych głosów – i mając je na względzie przynajmniej spróbować stworzyć szkołę naszych marzeń. Utopia? Niekoniecznie! Przecież największe zmiany zaczynają się od małych kroków. Możemy narzekać – że zła podstawa programowa, niesprzyjające przepisy, praca źle płatna i niewdzięczna, dzieci niegrzeczne a rodzice pretensjonalni, tylko... czy to coś zmieni? Może warto spróbować podjąć działania wobec tych obszarów, na które mamy realny wpływ?

Los tak pokierował moim życiem, że – choć wcale nie chciałam – powierzono mi stanowisko dyrektora szkoły. Wówczas uznałam, że mam szansę coś zmienić. Nie będę wprowadzić panem Kleksem i nie otworzę bajkowej Akademii, ale mogę spróbować na moim osiedlowym podwórku w publicznej

szkole wprowadzać małe zmiany, które przybliżą mnie do wymarzonej wizji. Niewiele miałam do stracenia – szkoła, w której pracowałam, była szkołą absolutnie przeciętną, wprawdzie z doskonałym zapleczem dydaktycznym, ale z potencjałem – już niekoniecznie. Trafiali się zdolni uczniowie, ale była też moc problemów, nie tylko edukacyjnych, ale i wychowawczych. Nie bez przyczyny na nasze osiedle mówiło się w mieście Bronx. To wcale nie było przeszkodą, wydaje mi się, że wręcz pomogło, rodzice zwyczajnie się nie wtrącali – część wyraziła swoje obawy, ale zaufała, a część po prostu nie interesowała się tym, co w szkole robimy. Jestem im za to bardzo wdzięczna – bo gdyby stawali okoniem na początku drogi – pewnie nie miałabym odwagi powalczyć. Gdy w 2020 r. stawiałam do konkursu na dyrektora szkoły (już z wyboru), mówiłam otwarcie, że marzy mi się szkoła przyjazna dla dziecka. Bez dzwonek, gdzie nie ma presji, a dzieci się nie boją. Nauczyciele wiedzieli, że w tę stronę pójdę, bo pracuję w „Dziesiątce” jako polonista od 2008 roku i dla mnie zawsze na pierwszym miejscu były dobre relacje z uczniem. Gdy relacje są dobre, nauka też lepiej wychodzi.

Trzeba jednak mieć świadomość, że postęp nie lubi rewolucji – woli ewolucję. Nasza szkoła nie zaczyna od zera, nie przyjmuje pierwszych uczniów i rodziców wybierających świadomie określoną wizję placówki. To szkoła, która ma 50-letnią tradycję, a uczniowie, rodzice, ale też nauczyciele, są przyzwyczajeni do pewnych schematów. Co to za schematy, z którymi warto zerwać – a które wymagają wyjścia z naszej strefy komfortu? Po pierwsze: Jak nie ma bata, to nie będą się uczyć! Jakie ocenianie kształtujące? To ogrom roboty! Po drugie: Egzamin zewnętrzny wszystko zweryfikuje. Po trzecie: Nie mam czasu na zabawy! Nie zdążę z podstawą programową!

Opowiem, jak w „Dziesiątce” próbujemy obalać te mity.

Jak nie ma bata, to nie będą się uczyć! Jakie ocenianie kształtujące? To ogrom roboty!

Często żyjemy w przekonaniu, że bez „bata” w postaci jedyńki czy braku promocji do następnej klasy uczniowie nie będą się uczyć. Wielokrotnie słyszałam, że bez ocen nie da się zmusić do nauki. Pytanie, czy w szkole chodzi o przymus? Jedyńki faktycznie spełniają swą rolę – wielu uczy się, wręcz zakuwa, ze strachu przed nimi. Są tacy, którzy, mając całą kolekcję ocen niedostatecznych, po prostu odpuszczają, bo przecież jedna w tę czy w tę stronę nie robi żadnej różnicy. Nigdy jedynka nie zachęca do ciekawości i nie budzi motywacji

– no chyba że tę najprostszą, napędzaną strachem. Oceniać musimy – to nasz ustawowy obowiązek, mówić, co dziecko zrobiło dobrze a nad czym powinno popracować... Pytanie: czy cyfra, bez względu na to, czy wyrażona znakiem 1 czy 4 – udziela nam tych informacji? Często słyszę, że ocenianie kształtujące to zabawa, że to dobre w edukacji wczesnoszkolnej, ale w starszych klasach szkoły podstawowej lub w szkole ponadpodstawowej – to w ogóle nieporozumienie. Zastanówmy się, jaki jest więc „efekt cyfrowej miary jakości”? Przede wszystkim to ona staje się celem – nie umiejętność czy wiedza, która za nią idzie – ale sam stopień. To on satysfakcjonuje nauczyciela i rodzica, on pozwala uczniowi „odhaczyć” na liście wykonane zadanie. Skoro staje się celem samym w sobie, uczniowie często wyznaczają sobie do niego najkrótszą drogę, choć nie zawsze uczciwą – przygotowują ściagi, odpisują, bo nie chodzi o to, by zdobyć daną wiedzę czy umiejętność, ale by mieć w dzienniku piątkę. Dlatego podstawą oceniania – bez względu na to, czy wystawiamy oceny wyrażone cyfrą, czy oceny kształtujące – powinny być jasno sformułowane wymagania edukacyjne, zaczynając od tych podanych na samym początku roku szkolnego, a kończąc na NACOBIEZU (Na Co Będę Zwracać Uwagę) określonym na każdej lekcji i przy okazji każdego sprawdzania wiedzy. I bynajmniej w określaniu wymagań nie chodzi o wskazanie stron w podręczniku – ale o nazwanie konkretnych umiejętności, które są niezbędne, by uznać, że uczeń osiągnął sukces. Wówczas cyfry naprawdę przestają być potrzebne, bo liczy się praca w celu osiągnięcia efektu. Pamiętam, gdy zaczynałam odchodzić od ocen cyfrowych, mój uczeń zmiął sprawdzian i powiedział: „Niech mi pani wpisze jedynkę i da już święty spokój”. Nie wpisałam. Odpowiedziałam, że to jego wybór. Że jedynka dla mnie nic nie znaczy, a liczy się to, że nie będzie czegoś potrafił – i nawet nie próbuje. Był na mnie wściekły, gdyby wzrok mógł zabijać, pewnie padłabym trupem na miejscu... ale rozprostował kartkę i podjął wysiłek. Gdy nie ma ocen cyfrowych, nie ma też pytań: „A ile zadań muszę zrobić na dwoje?”, „A można poprawiać?”. Zawsze można. Bo nie liczy się cyfra – a osiągnięcie pewnego poziomu wiedzy i umiejętności – i ani wiek, ani etap nauczania nie ma tu nic do rzeczy.

Od oceniania cyfrowego w „Dziesiątce” odchodzimy powoli, małymi krokami. Nie stosujemy ocen wyrażanych cyfrą – co oczywiste – w klasach 1-3 i dodatkowo w klasie 4. Zminimalizowaliśmy „ocenianie cyfrowe” od klasy piątej do ósmej, choć im starsza klasa, tym jednak faktycznie cyferek jest nieco więcej, zawsze jednak staramy się, by były opatrzone komentarzem – informacją zwrotną, choćby w formie ustnej. W statut wpisaliśmy, że nauczyciele oceniałą

kształtująco, ale mają też prawo stosować oceny cyfrowe, przy czym ocena cyfrowa nie jest ważniejsza niż kształtująca lub odwrotnie. Generalnie staramy się dążyć do równowagi. Starsi uczniowie i ich rodzice jednak są przyzwyczajeni do systemu cyfrowego. Czy kiedyś całkowicie odejdziemy od cyferek? Nie wiem. Myślę, że tu przymus nie jest dobry – różne są klasy, różni nauczyciele. Z pewnością będziemy się starali trzymać przyjętych założeń, jednak daleka jestem od radykalizmu, chcę, by zarówno nauczyciele, jak i uczniowie oraz rodzice poczuli, czemu służy proces oceniania – to jest nasz cel, a użyte narzędzia pełnią zdecydowanie drugorzędną rolę.

Dla nauczycieli to też rewolucja. Wpisać cyfry z góry na dół jest szybciej i łatwiej, a napisanie każdemu trzech zdań oceny zajmuje trochę czasu. My też jesteśmy zaszufadkowani, mamy w głowie schemat, że musimy oceniać ciągle. A to wcale tak nie jest: nie musimy oceniać ciągle, tylko systematycznie, a to nie znaczy, że na każdej lekcji. Pomiar dydaktyczny nie może być celem samym w sobie. Przecież nikt nie lubi być oceniany – nauczyciele także! Nie bez przyczyny przepisy mówiące o konieczności okresowej oceny pracy nauczyciela wywołały fale licznych protestów belferskiej braci. Jak więc oceniać efektywnie i systematycznie – i nie wykończyć się przy tym po miesiącu? Warto – na zasadzie umowy – ustalić z dziećmi, co będziemy oceniać i kiedy; nie musimy wciąż robić kartkówek, sprawdzać zeszytów i wymagać pisania sprawdzianów po każdym dziale (które przecież musimy poprawić). Jeśli pozwolimy uczniom na działanie i przestaniemy wciąż kontrolować, a zaczniemy obserwować, przestaniemy ważyć, mierzyć i porównywać – a skupimy się na indywidualnym rozwoju każdego dziecka – zarówno my, jak i nasi uczniowie zyskamy spokój. Jako polonistka jeszcze kilka lat temu wystawiałam w półroczu po 30 ocen bieżących. Teraz unikam cyferek jak ognia. Moi uczniowie mają po kilka ocen kształtujących, które jasno mówią, czy dziecko opanowało daną umiejętność. To wystarczy. Nawet bez ocen cyfrowych w dzieciach jest refleksja dotycząca uczenia się – nie muszą dostawać jedynek, żeby dojść do wniosku, że nie zrobili tyle, na ile ich stać lub wręcz przeciwnie – że dali z siebie wszystko.

Przed wszystkim trzeba głośno powiedzieć, że szkoła bez ocen cyfrowych to nie jest szkoła bez wymagań. Wymagania są i muszą być.

Zależy mi bardzo na dobrym poziomie nauczania, ale żeby on nie był osiągnięty korepetycjami. Żeby nie był wypłakany i opłacony problemami psychicznymi dzieci. Chodzi o to, żebyśmy osiągnęli z tymi dziećmi, które do nas przychodzą, maksimum, jakie mogą one osiągnąć. Jeżeli to będzie maksimum poniżej statystyki to trudno. W każdym tkwi potencjał – ale nie w każdym roczniku jest to potencjał wysoki.

Egzamin wszystko zweryfikuje!

Egzaminem ósmoklasisty straszymy od czwartej klasy, a maturą – od pierwszej... Egzaminy zewnętrzne pokazują jak na dłoni, że dana szkoła jest nad lub pod kreską. Ale czy te wyniki są obrazem wiedzy uczniów i poziomu nauczania w szkole? Zawsze egzaminy budzą we mnie wielkie rozgoryczenie – od kilku lat jakoś tak się bowiem składa, że jesteśmy pod kreską; nasze dzieci na tle miasta, powiatu i województwa wypadają słabiej. Słyszę wtedy często, że to właśnie efekt szkoły bez ocen. Otóż nie... Wszystkie te wyniki, to wyniki uczniów, którzy szli „po staremu”, ocenianych tradycyjnymi metodami. Uczniowie doświadczający zmian w pełni będą pisać egzamin dopiero za dwa lata. Ci, którym się statystycznie nie powiodło, byli uczeni tymi samymi metodami, które kilka lat temu przynosiły najwyższe lokaty – a teraz nie pozwalają nawet wskoczyć nad kreskę. Uczą ci sami nauczyciele, egzaminatorzy, z wieloletnim doświadczeniem. Co roku jednak dana klasa prezentuje inny potencjał – i z pełną odpowiedzialnością chcę głośno wykrzyknąć – oni pracują często więcej niż w elitarnych szkołach, w których płaci się za korepetycje, tylko ich praca jest statystycznie niewspółmierna do efektu. Dlaczego statystycznie? Dlatego że, dokonując szczegółowej analizy wyników, widzimy sukces dzieci. Gdy uczeń, u którego stwierdzono poziom rozwoju intelektualnego poniżej przeciętnej i wiele innych zaburzeń, który nie posiada jednak orzeczenia, ponieważ rodzice nie udali się do odpowiednich specjalistów – osiąga na egzaminie z wszystkich trzech przedmiotów 25% – odnosi wielki sukces. Chociaż jest to 1. stanin. Chociaż ciągnie wynik szkoły w dół. Jeśli takie problemy posiada ponad połowa zdających, to trudno uplasować się na 7. czy 8. staninie. Ale czy to powód do wstydu? Jestem dumna, gdy nasi uczniowie osiągają sukces na miarę swoich możliwości – i już dziś wiem, które roczniki napiszą egzamin zewnętrzny bardzo dobrze i będą w czołówce

wyników miasta i powiatu, a które roczniki takiego sukcesu nie osiągną. Nie jestem wróżką. To zwykła logiczna analiza.

Zawsze się mierzy, waży, porównuje... To jest szufladkowanie człowieka, tak nie wolno robić. Czasem ta statystyczna porażka – jest wielkim sukcesem dla dziecka. Marzę o zmianie systemowej, bo dopóki będzie presja egzaminów zewnętrznych, nic się nie zmienia.

Nie mam czasu na zabawy! Nie zdążę z podstawą programową!

Podstawa programowa – jedno z ulubionych nauczycielskich słów. Żeby nie było – moje też. To dla jej pełnej realizacji wybieramy program nauczania, najlepiej dobrze obudowany dydaktycznie, z obszernym podręcznikiem, zeszytem ćwiczeń i kartami pracy. A potem stresujemy się każdego dnia, bo brakuje nam czasu, bo już powinniśmy być w trzecim dziale, a my wciąż kończymy pierwszy, bo nie ma kiedy uzupełniać ćwiczeń... Projektujemy każdy nasz ruch – żeby zdążyć, nie chcemy marnować czasu na zabawy – wszystko po to, by przejść przez podręcznik szybko i sprawnie. Temat lekcji, wprowadzenie, podanie nowego materiału, zadanie domowe, koniec! Potem koniecznie sprawdzian na podsumowanie i śpimy spokojnie – bo zrobiliśmy wszystko, co do nas należało.

Łapię się wielokrotnie na tym, że mimowolnie działam dokładnie tak, jak opisałam wyżej, jak działali moi nauczyciele – usadzam uczniów w ławkach, częstokroć przesadzam, bo rozmawiają... Zapisuję temat lekcji i próbuję ich wciągnąć w rozmowę. W mojej ocenie ciekawą. Okazuje się, że moja ocena zupełnie rozbiega się z oceną dzieci – w rozmowę włącza się troje, czworo – reszta grzecznościowo udaje, że słucha, a czasem nawet nie udaje... Kręcą się, wiercą, hurtem chcą wychodzić do ubikacji. A przecież przygotowałam się do zajęć, temat ciekawy, karta pracy, nawet jakieś ćwiczenie interaktywne. W którym miejscu popełniam błąd? Bo czuję, że popełniam. Gwoździem do trumny jest pytanie zadane przez jednego z uczniów na koniec zajęć: „Kiedy będzie jakaś fajna lekcja?” Jak to? To ta nie jest wystarczająco „fajna”? Ta sytuacja każe się zatrzymać, zadać pytanie o sens tego, co robimy. Napracowałam się, przygotowując scenariusz, kartę pracy i ćwiczenia interaktywne – a w oczach dzieci to były nudy. TiK już nie wystarcza. Dlaczego? Wszędzie tam, gdzie moja aktywność jest większa niż aktywność dzieci – lekcja odbierana jest jako nudna – a ja sama nie dostrzegam efektów mojej pracy. Jak zatem zaktywizować uczniów? Oto jest pytanie.

To w szkole dziecko powinno się uczyć. Nie może być tak, że w czasie lekcji wyłącznie testujemy, sprawdzamy, czego uczeń się nauczył podczas korepetycji, czy samodzielnie, w domu. Pomiar dydaktyczny nie może zakłócać procesu uczenia się. Jeśli pobyt uczniów w szkole sprowadzimy wyłącznie do usadzenia ich w ławkach, odpytywania, wykładu i nudnego wykonywania ćwiczeń – choćby i interaktywnych – to zawsze przegramy.

Młody, rozwijający się organizm jest z natury ciekawy – a ciekawość każe zadawać pytania, podejmować eksperymenty, działać! Siedzenie w ławce i czytanie podręcznika nie ma z tym nic wspólnego. Oczywiście, jest nam trudno zerwać z pewnym schematem – a lekcja, podczas której to uczniowie podejmują aktywność, zaś nauczyciel wyłącznie ukierunkowuje ich działania, wymaga przedstawienia się przede wszystkim wspomnianego „kierownika działań”. Początki zawsze są trudne. Nie chodzi też o to, by każda lekcja obfitowała w fajerwerki – ale trzeba przynajmniej od czasu do czasu zaskoczyć uczniów i pokazać im, że jesteśmy otwarci na ich działania. Takiemu projektowaniu zajęć służy chociażby zmiana przestrzeni w klasie – wyjście z ławek, stworzenie kręgu czy grup. Dzięki temu nawiązują się relacje, a wraz z nimi pojawią się interakcje. W takich warunkach wystarczy tylko podrzucić problem do rozwiązania – i zaczyna się myślenie. A chyba o to przede wszystkim chodzi w szkole? Musimy, szanowni nauczyciele, wyjść z roli mentorów i wykładowców – a wejść w rolę koordynatorów działań i reżyserów. Wymaga to kreatywności, ale i daje satysfakcję.

Skąd wziąć na to czas? Musimy pamiętać, że realizujemy podstawę programową – nie podręcznik, musimy – mówiąc potocznie – „wrzucić czasem na luz”. Warto zacząć od zmiany organizacyjnej, ułożyć plan lekcji tak, by nauczyciel miał czas na działanie z dziećmi. 45 minut to za mało, by móc efektywnie uczyć przez działanie, bo jak wyciągniemy mikroskopy na biologii, to zaraz zadzwoni dzwonek. W takim czasie na języku polskim uczniowie mogą napisać najwyżej wstęp do wypracowania... W naszej szkole poukładaliśmy plany lekcji tak, by tam, gdzie się da, były po dwie godziny danego przedmiotu, ponieważ w 90 minut można zdecydowanie więcej. Nie łamiemy w ten sposób prawa – są to po prostu dwie lekcje po 45 minut – ale o ile więcej możliwości! Pracując w ten sposób, szybko przekonaliśmy się, że nie ma potrzeby zadawania zadań domowych – a przynajmniej można je znacząco ograniczyć. Zresztą zadania domowe to też jest coś, od czego powinniśmy stopniowo odchodzić. Na weekendy ich nie zadajemy. W tygodniu – owszem – choć nie chodzi o to, by dziecko wracało ze szkoły późnym popołudniem – i od razu siadało do książek

– zaczynając w ten sposób po „dniówce” drugi etat. Czasem jest to też drugi etat dla rodzica, a czasem to Internet podaje gotowe odpowiedzi. Czy ma to sens? Czy to efektywne? Zwłaszcza w dobie sztucznej inteligencji?

Mając więcej czasu, wszystko staram się z dziećmi robić na lekcji. Gdy polecam uczniom zrobić pracę w domu, muszę brać pod uwagę, że dla wielu z nich to nie będzie praca samodzielna. Do szkoły chodzą różne dzieci. Takie, które mają korepetycje, którym w nauce pomagają rodzice, starsze rodzeństwo, dzieci obowiązkowe, które zawsze się przygotowują do zajęć – ale też takie, którym nie ma kto pomóc, które z nauką są pozostawione same sobie, dla których rodzice nie mają czasu lub uważają, że nauka – to sprawa wyłącznie szkoły. Są też dzieciaki, które zwyczajnie nie mają warunków – brakuje im swojego pokoju a nawet może własnego biurka.

Kiedy więc zadaję zadanie, a potem poświęcam lekcję, by je sprawdzić lub mam robić całogodzinny sprawdzian – tak naprawdę tracę czas, który moglibyśmy przeznaczyć na prawdziwą naukę, na działanie. Samo sprawdzanie nie jest przecież nauką. O ile więcej możemy wypracować, robiąc coś wspólnie na lekcji! Temu także miała służyć owa zmiana – by dzieci przeznaczały w szkole czas na uczenie się. Ale przyniosła więcej korzyści. Uczniowie mają lżejsze plecaki, bo w danym dniu mają po trzy, a nie po sześć przedmiotów – i też do trzech, a nie do sześciu muszą się przygotowywać.

Szkoła nie jest dziś atrakcyjna, mimo że posiada dużo lepsze zaplecze dydaktyczne niż jeszcze kilka lat temu. Kiedyś dzieci szły do niej, bo w domu się nudziły, nie było atrakcji w postaci gier komputerowych, telefonów, telewizji i Internetu. Dziś przychodzą, bo muszą. Kiedyś ważne było towarzystwo rówieśników, a dziś dzieci żyją w świecie wirtualnym. Szkoła musi wyjść naprzeciw potrzebom dzieci. Jeśli tego nie zrobi, będzie jedynie bardzo przykrym obowiązkiem. A kiedy ktoś robi coś, bo musi, efekty są mierne. Dlatego poziom w szkołach spada (choćby statystyki mówiły inaczej). Jeśli nauka płynie z motywacji wewnętrznej, to efekty są lepsze. Trzeba tylko tę motywację odnaleźć i obudzić – i my jej szukamy.

Nie twierdzę, że w naszej szkole wszystko jest idealne i świetnie wychodzi. Jestem jednak przekonana, że zmiany są potrzebne i jeżeli nie spróbujemy szkoły trochę odrzesać, to system edukacji musi runąć. W istniejącej formie nie jest w stanie się utrzymać. Mimo że mamy dzisiaj nowoczesne i doskonale wyposażone szkoły – mentalnie wiele się nie zmieniło od stuleci. Chcemy, podobnie jak w poprzedniej epoce, by to nauczyciel mówił, a dziecko siedziało w ławce, słuchało i podnosiło rękę, gdy chce coś powiedzieć. Nic się tu nie zmieniło:

nadal są metody podawcze, nadal nauczyciel łapie na błędach, stawia stopnie, nagradza zdolnych, a karze tych mniej zdolnych lub niepokornych.

Poziom spada, dzieciom coraz mniej chce się pracować, z roku na rok coraz mniej jestem w stanie wypracować na zajęciach. To z jednej strony. A z drugiej – poprzeczka cały czas idzie w górę, oczekiwania są coraz wyższe. Wydaje mi się, że pogubiliśmy się w tym wszystkim. I albo ten system runie i zbuduje się od nowa, albo zaczniemy coś zmieniać. Mamy obowiązek podjąć działanie – nawet jeśli to trudne i zmusza nas do wyjścia ze strefy komfortu. Nawet jeśli czasem się nie chce lub nie udaje. Warto próbować. Dla dzieci – bo to one są naszą przyszłością.

Gabriela Wróbel *jest nauczycielką języka polskiego, dyrektorką Miejskiego Zespołu Szkół nr 1 w Krośnie, w którego skład wchodzi Przedszkole Miejskie nr 2 i Szkoła Podstawowa nr 10. Zwolenniczka szkoły relacji, propagator idei „Budzącej się szkoły”*
